

Zajdziński, Tadeusz

Przez bolszewicki kraj – pod Monte Cassino : ewakuacja : w Iranie i Iraku : śmierć wodza

Bieżuńskie Zeszyty Historyczne 16, 104-109

1999

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Ewakuacja. W Iranie i Iraku. Śmierć wodza.

Byliśmy zawałiskiem dla rządu radzieckiego. Do niczego nieprzydatni, niepotrzebni. Z tego powodu dowództwo nasze, radziecki i angielskie, postanowiło przenieść nas w takie miejsce, gdzie klimat będzie lepszy, będzie dostatek żywności, szpitale i lekarzy. W takich warunkach po wyleczeniu i odkarmieniu można by zrobić z nas armię. Nie było takich możliwości na terenie ZSRR. Wieści, które po tym lansowano i powtarzano jeszcze długo po wojnie, że Anders z armią uciekł, są nieprawdą i kompletnym absurdem. Rząd radziecki zgodził się na ewakuację do Iranu, dostarczył do przetransportowania nas pociągi i statki. Anglicy w Iranie czy Iraku gwarantowali, że przez okres kilku miesięcy, do pół roku, dojdziemy do siebie, zostaniemy uzbrojeni, przeszkoleni i użyjni do walki z Niemcami, ale już oczywiście nie na froncie wschodnim. Pociągami radzieckimi przewieziono nas do Krasnowodska, który był największym portem na Morzu



Fot. 20. Nad Morzem Kaspijskim w Persji, 1942 r.

Kaspijskim w ZSRR, na wschodnim wybrzeżu. Przez Morze Kaspijskie do portu Pahlawi na zachodnim brzegu płynęliśmy statkami radzieckimi. Port Pahlawi leży w Iranie. Był to port jachtowy rodziny Rezy Pahlawi i dostojników państwowych. Ja płynąłem statkiem radzieckim, który nazywał się "Kaganowicz". Ze statku przewieziono nas łodziami na piękną plażę, gdzie rozebraliśmy się do naga, a wszystkie ubrania, torby, koce rzuciliśmy na stos, na spalenie. Podlano to wszystko benzyną i jak ofiara Abła poszło prościutko do nieba. Następnie przeszliśmy do namiotów, gdzie przygotowane były prysznicze i umyliśmy się gruntownie. W następnych namiotach dostaliśmy bieliznę i ubranie, wszystko nowiutkie, angielskie, w trzech coś do zjedzenia i pierwsze grosiki do kieszeni. Bez różnicy – oficer, podoficer czy szeregowy, wszyscy otrzymali po 13 tumanów. Było to tyle, że przez kilka dni mogliśmy dobrze najeść się i solidnie popić. W Iranie przebywaliśmy krótko – dwa, trzy tygodnie. Zwiedziliśmy wybrzeże Morza Kaspijskiego, miasto Kazwin, pięknie położone na stokach gór Elbrusu, z których stale spływa wiele pięknych potoków, przepływających następnie przez urocze ogrody. Stamtąd jechaliśmy przez Hamadan, Kemenszach do granicy Iraku. Podróż przez Iran trwała trzy doby. Pierwsze miasto w Iraku to Khanakin. Po raz pierwszy widzieliśmy szyby naftowe, które wydobywały kilkanaście milionów ton ropy. W rejonie Khanakin przechodziliśmy okres rekonwalescencji, który trwał około pięciu miesięcy.

Życie płynęło jak w bajce – nad piękną rzeką Diałą, dopływem Tygrysu, wylegiwaliśmy się na słońcu, kąpaliśmy się i wyprawialiśmy przeróżne harce. Rzeką Diałą jest szerokości naszego Bugu, ma czystą wodę, w której nie ma żadnych gadów. Jedzenie było wspaniałe, do syta, a owoców cytrusowych i kompotów dawano bez ograniczeń. Dostawaliśmy czekoladę i inne słodczyce oraz papierosy w dostatecznej ilości. Ogólnie mówiąc – warunki mieliśmy doskonałe, Wielu, bardzo wielu z nas o takich warunkach nigdy w życiu nie śniło. Dobre zawsze się jednak kończy – po upałach przyszły deszcze i burze piaskowe. Burz piaskowych przeżyliśmy kilka. Najcięższa była 29 września. Data upamiętniła się, bo mieliśmy akurat obchodzić imieniny naszego dowódcy dywizji gen. Michała Tokarzewskiego-Karaszewicza. Już zaczynała się uroczystość, kiedy nagle i niespodziewanie zaatakował chamsin. Namioty, jak okiem sięgnąć, leżały, a wszystko było porozwalane – dokumenty dowództwa, papiery kancelarii, wszystko fruwało z wiatrem, Wiatr dosłownie porywał ludzi i niósł kilkadzie-

siąg metrów w powietrzu. Nigdy nikt z nas tak potężnego wiatru jeszcze nie przeżył. Byli tacy, którzy akurat znaleźli się nad rzeką – wiatr wrzucał ich, jak pyłki do wody. Całe szczęście, że rzeka w tym miejscu nie była głęboka, więc nikt się nie utopił. Uroczystość miała się odbyć w kilku wielkich namiotach typu kanadyjskiego, połączonych w dużą “salę”. Tam miało być eleganckie przyjęcie i tańce, ale cała “sala” leżała jak po trzęsieniu ziemi. Przeżyłem jeszcze kilka mniejszych chamsinów. Są to wiatry straszne, niosą chmury piasku i wywracają wszystko po drodze. Jak złapią na pustyni karawanę, to zdarza się, że przysypią ją całkowicie. Wiatr taki trwa do kilku dni. Arabowie mówią, że jeśli w czasie chamsinu Arab zabije żonę, nie jest karany, bo podczas wiatru wariuje i nie odpowiada za siebie. Podczas chamsinu nie je się, nie pije, wszystkie paleniska są wygaszone. Nie ma takiego zamknięcia, gdzie by piasek nie dotarł. Piasku są pełne kieszenie, walizki, menażki, buty i skarpety. Piasek jest pod koszulami, w kalesonach, wszędzie, wszędzie!

Kilka dni po ustaniu tej burzy byliśmy bez jedzenia i musieliśmy wszystko remontować, reperować i na nowo ustawiać wszystkie namioty. Największy kłopot był z dokumentami. Wyszukiwaliśmy je w piasku, ale bez powodzenia. Dokumentacja, która była dopiero co opracowana, przestała właściwie istnieć. Potem zostaliśmy przeniesieni dalej na północ w okolicę Kirkuku. Tam oddziały nasze zaczęto przeorganizowywać wg wzoru angielskiego. Podzieleni zostaliśmy na bataliony, brygady, dywizje. W angielskiej strukturze nie ma pułków.

Zaczęło się formalne szkolenie. Wyposażono nas szybko w sprzęt bojowy, przywożony z portu Basra, położonego nad Zatoką Perską, przy ujściu rzeki Szatel-Arab (połączonego Tygrysu i Eufratu). Przyjeżdżały setki, tysiące samochodów. Przeważnie były to Dodge, na nich sprzęt przeróżny. Samochody pozostawały oczywiście na naszym staniu. Kirkuk, to ośrodek wydobywania ropy naftowej, jeden z największych w Iraku. Stąd prowadzą rurociągi do Mossulu, z Mossulu do Haify, a drugi do Tripoli w Libanie. Dostałem przydział do 18. batalionu, którego dowódcą był ppłk. dyplomowany Ludwik Domoń. W 4. kompanii byłem dowódcą pierwszego plutonu. Dowódcą kompanii był por. Łokaj. Rozpoczęliśmy ćwiczenia z bronią lekką. Mieliliśmy karabiny i pistolety maszynowe “tomigany”, czyli Thompsony. Była to broń wyprodukowana oszczędnościowo, ale strzelała dobrze. W porównaniu z niemiecką była wolnostrzelna, ale za to miała duży



Fot. 21. W Iraku, 1942 r.



Fot. 22. W Iraku, 1942 r.

kaliber – 11,4. Niemcy się tej broni bali, bo w razie postrzału pocisk wyrwał przy wylocie olbrzymią dziurę. W czasie działań było bardzo łatwo rozpoznać jaka broń strzela, nasza czy niemiecka.

W końcu czerwca 1943 r. przyjechał do Kirkuku gen. Sikorski i zrobił, jak się to mówi, czystkę. Pozbył się dowódców, którzy byli mu niewygodni, nawet pułkowników i generałów i obsadził na tych miejscach oficerów, do których miał zaufanie. Generał Tokarzewski został pozbawiony dowództwa dywizji, a na jego miejsce został mianowany gen. Nikodem Sulik. Generał Sikorski miał wielu przeciwników, nie tylko w partiach i w rządzie, ale również w wojsku. Chodziło tu przede wszystkim o ludzi, wywodzących się z “Sanacji”. W armii groził rozłam. Pamiętam prowadzone między nami, młodszymi oficerami, rozmowy, kiedy zastanawialiśmy się nad tym, co mamy robić, jeśli nasi dowódcy zostaną pozbawieni dowództwa. Chodziło nam o dowódców, do których mieliśmy pełne zaufanie. Zastanawialiśmy się również, co mamy zrobić, jeśli groziłby zamach na gen. Sikorskiego. Mówię o zamachu w sensie pozbawienia dowództwa. W olbrzymiej większości byliśmy jednak po stronie generała Sikorskiego. Myślę, że nasi dowódcy orientowali się w tych nastrojach i między innymi dlatego nie wazyli się na nic. Myślę o gen. Tokarzewskim i niektórych pułkownikach. Na pożegnanie odbyła się wielka defilada z udziałem broni zmechanizowanych, artylerii, czołgów. Piękna defilada. Wojsko prezentowało się bardzo dobrze, gen. Sikorski był zadowolony, rozmawiał z żołnierzami. Mówił, że niedługo się spotkamy, że coraz bardziej przybliży się chwila walki, która skończy się zwycięstwem i powrotem do wolnej Polski. W tym czasie, o czym dowiedzieliśmy się oczywiście znacznie później, był projekt, opracowany przez gen. Sikorskiego, a lansowany przez Anglików, uderzenia na Półwysep Bałkański, Grecję, Jugosławię i Węgry do Polski, aby wyjść na tyły Niemcom, walczącym na froncie wschodnim. Nie byliśmy jeszcze doszkoleni. Półwysep Bałkański jest górzysty, zbyt mało było jeszcze ćwiczeń górskich, a nasz żołnierz pochodził z dolin. Ćwiczenia mieliśmy specjalnie w terenach górzystych w północnym Iraku aż po góry Arowantus, na wysokościach nawet powyżej 1 000 metrów. Do Palestyny przez Jordanię wyjechaliśmy jeszcze w 1943 r. i stacjonowaliśmy w okolicy Gazy, kilka kilometrów od Morza Śródziemnego. Po reorganizacji wojsko nasze nazywało się: 2. Korpus Polski, a w ZSRR i do tychczas – Polskie Siły Zbrojne w Rosji.

Po wizycie gen. Sikorskiego w Iraku, po defiladzie i wspnianiałym przemówieniu wodza, w którym przekazał nam szczerą wiarę, że walczymy dla Polski i wrócimy jako zwycięzcy, było dla nas tragicznym zaskoczeniem, kiedy w niespełna tydzień, dotarła wiadomość, że gen. Sikorski nie żyje, że samolot, który startował z Gibraltaru runął do morza i wszyscy zginęli. Mówiono wtedy, że uratował się tylko pilot i rzeczywiście, była to prawda. Żołnierze i oficerowie nie wstydzili się łez, płakali! Taką wiarę pokładali, że będzie nami dowodził zwycięsko, że wróci z nami do Polski. Tymczasem ten, który wiarę tę w nas wpałał, odszedł pierwszy w tak tragiczny sposób. Nawet ci, którzy byli przeciwnikami jego polityki, przestraszyli się. Niedawno był tutaj, zaledwie kilka dni temu i cieszył się wojskiem tak dobrze wyszkolonym. Wierzył, że tym wojskiem będzie dowodził i będzie wracał z nim do Polski, a potem Polskę budował. Nie wiadomo dlaczego tak się stało. Wszyscy byliśmy wtedy przekonani, że był to przygotowany zamach. Gen. Sikorski był osobistością powszechnie na świecie znaną, szanowaną, przyjmowaną na wszystkich dworach, jak koronowana głowa. Dla takich osobistości podstawiano maszyny w stu procentach przygotowane i zabezpieczone od wypadków. A tu samolot, zanim osiągnął pułap, runął do wody. Nie mogliśmy się z tym pogodzić i duch w wojsku upadł na pewien czas. Przygnębienie było powszechne i ogromne. Póki gen. Sikorski żył, czuliśmy, że mamy opiekuna, z którym wszyscy się liczą, którego cenią, a przez to i nas muszą cenić. A po tym, jakby rękę odjął – kiedy ojciec rodziny umiera, to dom już nigdy dobrze prosperować nie będzie. W dalszych latach te sprawy wyrównały się tylko częściowo. Nigdy już takiej atmosfery w wojsku nie było, jak przed 4 lipca 1943 roku – przed tragedią w Gibraltarze. Gen. Sikorski miał coś takiego w sobie, że bez żadnego gestu, bez słowa, ale samą postawą wywoływał respekt i szacunek, był to po prostu człowiek Wielki.

W Palestynie, Libanie i Egipcie.

W Palestynie bez przerwy przeprowadzaliśmy różne ćwiczenia. Teren w rejonie Gazy jest pustylny, stepowy, szybko więc przenosiliśmy się w kierunku północnym, gdzie są wzgórza, nawet dość wysokie. W Palestynie spotkaliśmy dużo polskich Żydów, którzy znali nasz język. Wiele